

KATARZYNA
BESTER



Dwie Gwiazdki

dla•czemu

KATARZYNA
BESTER

*Dwie
Gwiazdki*

dla•czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu
www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala

Redaktor prowadząca: Marta Burzyńska

Redakcja: Renata Kumala (korektornia on-line)

Korekta językowa: Ewa Hoffmann-Skibińska

Projekt okładki: Izabela Starosta

Skład i przygotowanie okładki do druku: Agnieszka Zawadka

Łamanie i skład: Szymon Bolek

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

WARSZAWA 2022

Wydanie I

ISBN: 978-83-67357-69-2

Zapraszamy księgarń i biblioteki
do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami.

Dodatkowe informacje dostępne pod adresem:

kontakt@dlaczemu.pl

Rozdział 1

Imogen



Nic nie wyprowadza mnie z równowagi tak efektywnie, jak ogrom przedświątecznych dekoracji. A nie, przepraszam. Jeszcze on. William Allister. Jest jak choinki w listopadzie: wszędzie go pełno i mnie irytuje. Na szczęście nie muszę słuchać jego zrzędzenia cały czas, lecz jedynie wtedy, kiedy odtwarzam je w mojej głowie, czytając cholernie długie wiadomości docierające każdego pieprzonego dnia na moją skrzynkę mailową. Mam wrażenie, że atakują mnie z każdej strony, bo trudno mi przypomnieć sobie dzień, kiedy nie dostałam wiadomości od Allistera. Pisze nawet w weekendy, choć wtedy teoretycznie nie pracujemy.

Co jest nie tak z tym gościem? Czy musi dzielić się ze mną wszystkimi swoimi przemyśleniami i angażować mnie w rozwiązywanie spraw, z którymi dorosły facet powinien umieć sobie poradzić? Wybór czcionki do ulotek, zdjęcia służącego za tło życzeń na Facebooku, sposobu witania się w mailach z klientami... Jego pytania i „istotne kwestie”

docierają do mnie przez cały dzień, odrywając od naprawdę ważnych obowiązków służbowych. Czy on w ogóle sypia? Przecież mamy różnicę czasu.

Dzisiaj, oszczędzając mi długiego wykładu na tematy zawodowe, Allister pragnął życzyć mi „rodzinnej atmosfery podczas świątecznych spotkań oraz wiary w bożonarodzeniowy cud”. Serio? Przeczytawszy to, prychnęłam, a potem udawałam, że krztuszę się kawą, bo mój szef wyrzwał ze swojego biura nieco zaniepokojony. Po odpisaniu na słodkopierdzącą wiadomość Williama zajęłam się składaniem życzeń wszystkim klientom firmy, dla której pracuję od czerwca. Staralam się wlać w swoje słowa maksymalną ilość świątecznej magii, bo tego oczekiwał – kochający Boże Narodzenie i wszechobecne dekoracje – mój szef. Człowiek, który przez cały rok kupuje piernikową kawę i ma w swoim gabinecie trzy – powtarzam: trzy – choinki. O wilku mowa.

– Imogen, jak uważasz, który krawat będzie mi najlepiej pasował podczas wigilijnego spotkania z rodzinką? – pyta, wyłaniając się zza drzwi swojego biura.

Rzucam okiem na osiem krawatów, które ma przewieszzone przez przedramię. Dyskretnie wzdycham i przez moment zastanawiam się, co mnie tknęło, aby podjąć pracę u Chandlera Dwighta? Niech no pomyślę... Ach! No tak. W tym roku stuknęła mi trzydziestka i stwierdziłam, że pora coś zmienić w swoim życiu. Najlepiej pracę, bo bycie stewardesą dawno przestało sprawiać mi przyjemność. Tutaj zostałam zatrudniona natychmiast, bo nie boję się latać i znam hiszpański. Aplikowałam jednak na stanowisko sekretarki, czy tam asystentki, a nie matki zastępczej. Tymczasem Dwight potrafi dzwonić w sobotę, bo nie umie

znaleźć jakiegoś maila, albo w porze lunchu poprosić mnie o wybranie mu kanapki. Czasem mam wrażenie, jakbym niańczyła monarchę.

– A jaki będzie kolor reszty? – pytam.

– Jakiej reszty? – Marszczy brwi mój pięćdziesięcioletni szef, nieumiejący wybrać krawata na rodzinne spotkanie przy choince.

– Chodzi mi o ubrania. Kolor koszuli. Zakładasz garnitur czy bardziej na luzie?

– O tym nie pomyślałem – wyznaje.

Klasyka. Dobrze, że podczas nagrywania kursów językowych, które sprzedajemy w coraz większej ilości, Chandlera widać tylko od pasa w górę. Przychodzi do pracy w wyprasowanej, na szczęście, koszuli, a ja szybko dobiegam do tego krawat. Czasem zdarza mu się trafić, ale bywa, że wystroi się jak choinka. Na wszelki wypadek w biurze ma kilka ubrań na zmianę, a ja pilnuję, żeby zawsze oddać je i odebrać z pralni w odpowiednim czasie. Raz przyszyłam nawet guzik do mankietu. Chwilami mam wrażenie, że beze mnie Chandler rzeczywiście byłby w dupie.

– Jak weźmiesz białą koszulę, to załóż ten – mówię, wskazując dłonią krawat w czerwono-zielone paski. – Ma świąteczne kolory i to powinno wystarczyć.

Uśmiecha się serdecznie i znika u siebie. Kręcę głową, ale się nie wkurzam, bo naprawdę lubię tego gościa, mimo że czasem jest jak dziecko we mgle. Zastanawia mnie, jak ktoś tak nieporadny życiowo może prowadzić tak dobrze prosperującą firmę. Kiedyś zapytał mnie, czy nie widziałam jego telefonu. Był mocno zdenerwowany. Gdyby nie fakt, że w tym samym momencie przykladał ten telefon do ucha i rozmawiał

z bratem, to pewnie pomogłabym mu szukać. Innym razem przyszedł na nagranie w brudnej koszuli. Nie zauważył, że ubabrał się musztardą. Słuchając wskazówek, jak dojść do budki z najlepszymi hot dogami, wybrałam mu nową koszulę z szafy w gabinecie. Na szczęście nagrania odbywają się w tym samym budynku, więc po drodze do studia Chandler nie miał szans pozyskać nowej plamy od ulicznego żarcia.

– Imogen! – woła, wracając do mojego biurka z naręczem krawatów. – Byłbym zapomniał. – Wcale by mnie to nie zdziwiło. – Chcę, żebyś poleciała do Londynu.

– Kiedy? – pytam i czuję lekki niepokój. – Pamiętasz, że w Boże Narodzenie mój brat bierze ślub i chcę być tutaj? – upewniam się, a on macha uspokajająco dłonią i kiwa głową. – To kiedy ten Londyn?

– Po świętach.

– To coś nagłego? – dopytuję, bo Chandler zwykle planuje podróże z kilkutygodniowym wyprzedzeniem.

– Delilah ma jakiegoś potencjalnego przedstawiciela, który promowałby nasze kursy w Hiszpanii. Ty znasz hiszpański, a ja... sama wiesz.

Wiem. Chandler nie lata samolotem. Boi się. To był jeden z warunków zatrudnienia: gotowość do podróży lotniczych. Kiedy usłyszał, że pracowałam jako stewardesa, natychmiast stałam się idealną kandydatką na stanowisko sekretarki, czy tam asystentki, a przy okazji niańki dorosłego faceta. Reprezentuję Chandlera podczas rozmów z klientami i przedstawicielami w Stanach, ale pierwszy raz mam lecieć poza kontynent. Sprzedaż w Hiszpanii może wpłynąć na znaczne zwiększenie dochodu firmy, a przy okazji mogłaby wzrosnąć też moja pensja. Podoba mi się ta wizja.

Od lat odkładam pieniądze, ale jeszcze nie wiem, czy chcę kupić mieszkanie w Nowym Jorku, czy może zwiedzić świat i zobaczyć kilka pięknych miejsc, bo podczas pracy dla linii lotniczych zwiedzałam głównie hotele i bary lotniskowe.

– Spotkanie będzie w Hiszpanii? – dociekam, wyciągając notes, żeby wszystko zapisać.

– Nie. Delilah zaprosiła go do swojego biura w Londynie. Przepraszam, że tak nagle, ale sam dowiedziałem się rano z jej maila.

Kiwam głową. Delilah Edwards to piękna i przedsiębiorcza kobieta, która jest współniczką Chandlera. Podobno dobiega pięćdziesiątki, ale wygląda najwyżej na czterdzieści lat. Była tutaj jesienią i poznałyśmy się osobiście. Jest fantastyczna, przebojowa, drapieżna, a przy tym elegancka i wytworna. Bardzo możliwe, że to umiejętności Delilah trzymają firmę w tak dobrej kondycji, a zagubiony Chandler czuje się znakomicie otoczony opiekunkami.

– Kiedy mam lecieć?

– Dwudziestego siódmego, lądujesz dwudziestego ósmego rano. Następnego dnia będzie spotkanie, a później masz czas wolny. W pracy widzimy się dopiero dziewiątego stycznia, bo muszę spędzić trochę czasu z rodziną.

– Czyli mam dwa tygodnie wolnego, a moim jedynym zadaniem jest rozmowa z jakimś Hiszpanem? – Unoszę wymownie brew. – Mówisz serio?

– Jak najbardziej – zapewnia, posyłając mi szeroki uśmiech, po czym znowu odwraca się i wędruje do swojego biura. – Jutro skończymy wcześniej, a pojutrze baw się dobrze na weselu brata.

– Na pewno nic ci nie dosypali do tej piernikowej kawy?

– Zapewniam, że nie. – Śmieje się. – Dostajesz wolne w prezencie.

– Dziękuję – odpowiadam wesoło.

– Ach! Byłbym zapomniał – oznajmia, odwracając się w drzwiach. – Bilet do Londynu masz już kupiony. Powinien być na twojej poczcie.

Sprawdzam maila i znajduję tam wiadomość sprzed pięciu minut. Cicho warczę, bo przecież mogłam załatwić to sama. Lubię być niezależna. Od razu układam w głowie plan pobytu. Zaproponuję Holdenowi, że popilnuję ich mieszkania, bo z Nowego Jorku wracają dopiero dwudziestego świętego grudnia. Przygryzam wargę i zastanawiam się, jak wymiksować się z tego, co proponuje mi asystent Delilah.

Imogen,

w załączniku przesyłam bilet, o który poprosiła mnie Delilah. Zapewniam, że nie musisz się niczym martwić, bo zamówię dla Ciebie najlepszy hotel i odbiorę Cię z lotniska. Mam nadzieję, że masz mój numer telefonu, bo przecież nie widzieliśmy się nigdy, więc trudno będzie nam znaleźć się na lotnisku. Ja zapisałem Twój numer i dam znać, jak tylko dotrę na miejsce. Spotkanie z Hiszpanem mamy 29 grudnia o 9 rano naszego czasu. Mam nadzieję, że jet lag nie będzie Ci mocno dokuczał, a w razie czego gwarantuję, że kawa w naszym biurze smakuje wyśmienicie i postawi Cię na nogi. Jeszcze raz życzę Ci wesołych świąt i mam nadzieję, że spodoba Ci się w Londynie. Oczywiście proponuję swoje towarzystwo, gdybyś chciała zwiedzić miasto lub po prostu nie spędzać czasu sama.

*Pozdrawiam
William Allister*

– Tylko nie on – szepczę, chowając twarz w dłoniach.

Uprzejmie odpisuję, że mam w Londynie rodzinę i nie musi się o mnie martwić. Hotel również nie będzie potrzebny, bo zatrzymam się u brata. Z westchnieniem ulgi zamykam laptop i myję kubek po kawie. Zapisuję w telefonie numer Allistera, żegnam się z szefem i zbieram do wyjścia, bo obiecałam Harper ostatnie panieńskie zakupy. Mamy upolować jakąś biżuterię dla mojej przyszłej bratowej. Przy okazji planuję kupić coś dla siebie, bo Chandler może i jest lekko nieogarnięty, ale na pewno nie skąpy, więc premia świąteczna bardzo mnie zadowala.

Wychodzę z budynku i biorę głęboki wdech. Wciągam chłodne nowojorskie powietrze i uśmiecham się do siebie. Kocham swoje miasto. Nie tak mocno, wręcz patologicznie, jak mój przyjaciel Ray, ale Nowy Jork od zawsze jest moim domem. Ruszam żwawym krokiem, żeby nie zrobiło mi się zimno. Po drodze do metra mijam wystawy udekorowane lampkami, choinkami i figurkami Świętego Mikołaja oraz jego zacnego renifera Rudolfa. Przewracam oczami, bo z niektórych witryn te ozdoby niemal wychodzą na ulicę. Co za dużo, to niezdrowo, nawet dwa dni przed Bożym Narodzeniem.

Zaczyna padać śnieg. Mam nadzieję, że Harper spakowała sobie jakieś futerko, bo nowojorska zima chyba odstaje nieco od londyńskiej pogody o tej porze roku. Wzdrygam się na myśl o Londynie, gdzie za kilka dni pierwszy raz w życiu zobaczę faceta, którego maile czytam, wykrzywiając się do ekranu. Nie wiem, skąd Allister ma tyle czasu na pisanie do mnie tych elaboratów, ale zapewne mi o tym opowie, serwując „wyśmienitą” kawę w swoim biurze. Czuję się zmęczona na samą myśl o spędzaniu czasu z tym gościem.

Rozdział 2



Harper wygląda cudownie, a na twarzy mojego brata maluje się takie szczęście, że razem z mamą płaczemy jak pojebane, gdy Holden wymawia słowa przysięgi małżeńskiej. Z ciepłem rozlewającym się w sercu patrzę na świeżo upieczonych państwa Buckley. Nie do wiary, że minęły już dwa lata, od kiedy się poznali. Pamiętam dzień, gdy Holden tuż przed Bożym Narodzeniem przyleciał z Londynu i oświadczył, że się przeprowadza. Zapytałam wtedy, co mu się tam tak bardzo spodobało, a on oświadczył, że się zakochał. Skoro postanowił się przenieść do Anglii, uznałam, że to coś poważnego. Gdy poznałam Harper, byłam zachwycona. Od razu znalazłyśmy wspólny język, a Holden promienieje radością, od kiedy są razem.

– To plus, że nie musi zmieniać nazwiska, choć tak naprawdę je zmienia – zauważa Ray, gdy wychodzimy z kościoła. – Gdyby nie nazywali się tak samo, pewnie nigdy by się nie poznali.

Raya i Holdena łączy silna więź, która podobno narodziła się podczas walki o łopatkę, kiedy mieli po cztery lata. Mnie jeszcze nie było wtedy na świecie, więc muszę wierzyć w historię przekazywaną przez starsze pokolenie. Obaj są jak najlepsze przyjaciółki, tylko na odległość, bo Ray mieszka w Nowym Jorku, który kocha pewnie równie mocno, co swoją dziewczynę Everly, a Holden osiadł w Londynie, gdzie razem z Harper mają wspólne mieszkanie oraz kota. Nie dziwiłam się, że to Ray został drużbą mojego brata.

– Myślisz, że Everly kiedyś przyjmie twoje nazwisko, Colton? – pytam, mrużąc powieki.

Ray prycha i spogląda na mnie, jakbym zapytała go o to, w którym roku wybudowano Empire State Building. Gość ma historię miasta w małym palcu.

– Oczywiście – zapewnia.

– Yhm – rzuca z uśmiechem stojąca obok Everly i puszcza do mnie oko.

– Ale co „yhm”? – pyta Ray i już nie jest taki pewny siebie, bo przestaje się uśmiechać.

– Nic – odpowiada Everly i wzrusza ramionami.

Obie przygryzamy wargi, żeby się nie roześmiać, bo zdezorientowany Colton wygląda bardzo zabawnie. We troje ruszamy do celu – restauracji B&V, którą mój brat prowadził, zanim wyjechał do Londynu, żeby zaopiekować się tamtejszym oddziałem firmy oraz wieść sielskie życie u boku Harper. Kto by pomyślał, że ich znajomość pójdzie w tym kierunku. Zwłaszcza że na powitanie Holden dostał w łeb parasolem.

W restauracji jest przyjemnie, ciepło, pięknie pachnie, a świąteczne dekoracje mają jakiś umiar, jeśli chodzi o ilość.

Dzisiaj mi nie przeszkadzają – tym bardziej że nie są wszędzie – ale kiedy wyskakują z każdego okna w listopadzie, to zwykle kręcę nosem.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – mówię cicho do Raya i udaję się w stronę machającego do mnie Louisa, współnika Holdena.

– Dziękuję – odpowiada przyjaciel i przyciska do piersi Everly.

Widzę na jej twarzy lekkie zakłopotanie, ale postanawiam nie zadrezczać jej pytaniami. To nie moja sprawa, choć maczałam palce w tym, że są teraz razem. Podchodzę do Louisa i wdaję się w rozmowę na temat jego francuskiej kuchni oraz mojej nowej pracy. Śmieje się, gdy opowiadam o szefie, są pewnie w podobnym wieku. Z tego, co kojarzę, to Louisowi w tym roku stuknęła pięćdziesiątka.

– Odpuść mu – mówi Louis, chichocząc. – Starsi panowie tak mają. Zwykle opiekuje się nami żona lub któreś z dzieci, więc wiele spraw po prostu dzieje się bez naszego udziału. Myślisz, że ja kiedykolwiek aktualizowałem coś sam w komputerze? Że sam kupiłem którąkolwiek koszulę? Że interesuję się tym, w której szufladzie są moje skarpety? Nie.

– Ale mój szef nie ma żony i dzieci. A przynajmniej nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Może kiedyś miał. Trudno kogoś oceniać, jeśli nie zna się jego historii – rzuca i daje mi pstryczka w nos. – Chodź, musimy spróbować tych pyszności ze stołów.

Kierujemy się w stronę naszych miejsc, ale nagle słyszę bardzo podekscytowane głosy. Zauważam zamieszanie przy jednym ze stolików, więc przepraszam Louisa

i podchodzę bliżej. Muszę zaspokoić ciekawość. Najpierw widzę bladego, ale uśmiechniętego Raya, a potem Ruby przytulającą Everly. Szturczę brata, żeby wyjaśnił, co się dzieje.

– Będą mieli dziecko – informuje mnie Holden, uśmiechając się szeroko.

– Gratulacje! – krzyczę i przejmuję od Ruby chichoczącą Everly. – Kiedy?

– Latem – oznajmia Ray, a duma niemal wylewa mu się uszami.

Ray Colton ojcem? Uwodziciel i wieczny kawaler? Świat się kończy. Nie sądziłam, że ten dzień będzie aż tak przepełniony emocjami.

Kiedy kilka godzin później niemal padam na pysk, a moje buty leżą pod stołem, uśmiecham się do siebie. Już nawet nie przeszkadza mi zrzęczenie ciotek. Patrzę na otaczającą mnie rodzinę i przyjaciół: mamę gawędzącą z Louistem i Jerrym, tatę dyskutującego z wujkiem, Holdena przytulającego Harper na parkiecie, Ruby i Chrisa pokazujących Everly zdjęcia swojej córki, Raya tańczącego ze swoją ciocią Nancy, która jest nieźle wstawiona, a także wujków, ciotki i kuzynów bujających się w rytm muzyki lub opychających się resztkami weselnego tortu. Wzdycham z zadowoleniem. Jestem szczęśliwa.

* * *

Pakuję do torby paszport oraz klucze do mieszkania brata i bratowej. Harper instruuje mnie, co gdzie jest, gdybym nie mogła znaleźć podstawowych produktów spożywczych,

jak kawa, herbata i cukier. Chyba zapomniała, że nie mieszkają w pałacu, a ich kuchnia ma ograniczoną liczbę szafek i szuflad. W końcu trafiłabym na właściwą. Nie przerywam jej jednak, bo idzie mi na rękę, użyczając pokój dla gości.

– W dolnej szafce po prawej stronie jest jedzenie dla Skosztuja – mówi poważnie, a ja po raz kolejny parskam śmiechem, usłyszawszy imię ich kota. – Sąsiadka z piętra niżej go karmi, ale napiszę do niej, że przejmujesz opiekę. Podrzuci ci zapasowe klucze, które jej dałam.

– Zajmę się kotem, kluczami i znajdę kawę – zapewniam ją z uśmiechem.

Głośno wypuszcza powietrze. Chyba uwierzyła w moją samodzielność.

– Jak nabałaganisz, to masz przejebane – dorzuca Holden, szczerząc się od prog.

Przewracam oczami, bo doskonale zdaję sobie sprawę z zapędów pedanckich mojego brata. Gdybym tak zostawiła płamę z mleka na kuchence, wymiętą narzutę na łóżku lub brudny talerz w zlewie, to chyba by mnie ukrzyżował, a już na pewno skoczyłoby mu ciśnienie. Holden od zawsze wielbił porządek. Kiedy byliśmy młodszy, to krzyczał na mnie, gdy nie odnosiłam naczyń do zmywarki lub zostawiałam ślady z błota na podłodze w korytarzu. Nie ukrywam, że przez tę jego tresurę sama teraz pilnuję porządku. Ostatnio nawet zwróciłam uwagę tacie, że nie wziął podkładki pod kubek i zostawił ślad na blacie.

– Będę odkurzać sześć razy dziennie i wynosić śmieci każdego ranka – informuję. – Powycieram kurze, wypiorę firanki i poukładam alfabetycznie produkty w lodówce.

A to wszystko w ciągu niespełna dwóch dni, które spędzę tam bez was. Nie poznasz swojego mieszkania, braciszku.

Harper chichocze, a Holden grozi mi palcem, jednak się uśmiecha.

– Ubieraj się – mówi do niego Harper, chwytając swój płaszcz. – Spóźnimy się.

– Ray zaczeka.

– Ale Everly może być teraz senna, więc lepiej być wcześniej i szybciej wyjść.

Harper sporo wie na temat ciąży, bo przygotowuje się do roli mamy. Mówili, że będą starać się o dziecko zaraz po ślubie. Trzymam za nich kciuki. Chciałabym zostać ciocią. Rozpieszczałabym malucha i zawsze kupowała najlepsze prezenty. Holden to mój jedyny brat, więc w nim moja nadzieja.

– Ruby mówiła, że może odebrać cię z lotniska – przypomina mi Harper.

– Wiem, ale przecież dopiero kilka godzin temu wylądowali, a poza tym mają małe dziecko. Nie chcę odrywać młodej od mamy. Przyjedzie po mnie ten bufon z londyńskiego biura.

– Uwielbiam, kiedy tak pieszczotliwie o nim mówisz. – Holden śmieje się, zapinając płaszcz. – Może to naprawdę fajny gość.

– Przeczytaj jeden z jego maili, rozwiąż jego codzienne problemy, omów z nim każdą pierdołę i zobaczymy, co wtedy będziesz o nim sądził.

– Pamiętaj, że na początku ja też nie znosiłam Holdena – mówi Harper i puszcza do mnie oko.

– Tylko bez takich insynuacji – ostrzegam. – Bo ogolę wam kota na łyso.

– Kot ma być cały i zdrowy, gdy wrócimy – oznajmia Holden, zanim wychodzą.

– Kocha go – szepcze Harper, mrugając porozumiewawczo.

Żegnam się z nimi, choć za dwa dni się zobaczymy. Obiecałam, że spędzę z nimi sylwestra i Nowy Rok, skoro Chandler ofiarował mi tak dużo wolnego. Płatnego wolnego. Za godzinę tata zawiezie mnie na lotnisko, a potem czeka mnie długi lot. Mam tylko nadzieję, że uda mi się zdrzemnąć i że w Londynie będzie ładna pogoda. Lecę znajomymi liniami, więc może przy okazji spotkam koleżanki z byłej pracy i poznam nowe plotki.

Rozdział 3



Nigdy nie lubiłam lądowania. Jako stewardesa uczestniczyłam w niezliczonej liczbie podróży, ale nigdy nie pozbyłam się tego dyskomfortu, jaki powoduje u mnie zetknięcie się kół samolotu z nawierzchnią. Zwykle ludzie boją się startu, a na mnie nie robi on takiego wrażenia jak zakończenie lotu. Na szczęście w nowej pracy nie muszę latać tak często. Gdy mogę rozpiąć pasy, ogarnia mnie ulga. Jeszcze tylko багаż, trochę przepychania się pomiędzy ludźmi i będę prawie u celu.

Na szczęście kolejka przesuwa się dość szybko, więc wkrótce stoję z moją walizką w wyznaczonym miejscu i rozglądam się po twarzach osób czekających, aby odebrać kogoś z lotniska. Jakaś kobieta przytula do siebie kilkumiesięczne dziecko ubrane na różowo, więc zakładałam, że to dziewczynka. Starszy pan trzyma w ręku bukiet kwiatów i staje na palcach, wypatrując kogoś w tłumie. Wysoki brodaczu luzuje szalik, ukazując fragment tatuażu u szyi

rozpiętego kołnierzyka koszuli. Jakiś przystojny blondyn trzyma ręce w kieszeniach i beztrosko rozgląda się wokół. Czyżby to on na mnie czekał?

Tuż po wyjściu z samolotu wymieniłam z Williamem Allisterem wiadomości. Miał czekać tutaj, a ja podałam mu opis mojego stroju oraz walizki. O ile moje jeansy i brązowy płaszcz nie wyróżniają się bardzo z tłumu, o tyle walizka jest charakterystyczna, turkusowa w czerwone kwiatki. Uwielbiam oryginalne i kolorowe wzory, a Walmart miał znakomitą ofertę, więc walizka jest moja. Teraz stoję z nią na londyńskim lotnisku i rozglądam się wokół, zerkając co jakiś czas na tajemniczego blondyna. Jest dobrze zbudowany i przystojny. Gdyby był Allisterem, to być może jego wygląd umiliłby mi jego pierdolenie o wszystkim i o niczym podczas godzin, które z nim spędzę. Opowiadałby mi o rozmiarach zdjęć na Facebooka i o kolorach kopert, w które można wsadzić kartkę z życzeniami, a ja błędziłabym myślami po jego imponującym ciele.

Nagle moje niegrzeczne rozważania zostają brutalnie przerwane, bo przede mną wyrasta brodac z poluzowanym szalikiem i posyła mi uśmiech. Bardzo ładny uśmiech. Wręcz olśniewający.

– Witaj w Londynie – mówi nieznajomy i wyciąga do mnie dłoń. Ma głęboki głos, pasujący do jego zadbanego zarostu i dość eleganckiego ubrania. – Jestem William.

O cholera! William Allister? Greczny, włączący w dupę i rozkładający każdą kwestię na czynniki pierwsze koleś, którego wiadomości mnie osłabiają? Tatuaż, broda i intensywne spojrzenie? Chyba sobie jaja robi?

– Niemożliwe – wypalam, zanim ugryzę się w język.

– Proszę? – pyta i marszczy brwi.

Postanawiam udawać, że się przesłyszał.

– Jestem Imogen – mówię, chwytając jego dużą dłoń i lekko ją ściskając.

Posyłam mu uśmiech, a on podejrzliwie mruży oczy, ale w następnej sekundzie odwzajemnia uścisk dłoni i ponownie się do mnie szczyrzy. Potem chwyta rączkę mojej walizki w kwiatki – no oczywiście, że dzentelmen – i gestem dłoni zaprasza, abym z nim poszła. No to idę.

– Zaparkowałem blisko – oznajmia. – Jak ci minęła podróż? Bez problemu odebrałaś bagaż? Może chciałabyś coś zjeść?

Taka liczba pytań w jednej krótkiej wypowiedzi potwierdza, że to Allister.

– W sumie to chętnie zjadłabym śniadanie – mówię, zerkając na zegarek. Mam wrażenie, że leciałam mnóstwo godzin, bo przecież w Nowym Jorku był wieczór, gdy samolot startował. – Podróż w porządku. Jestem przyzwyczajona, choć strefy czasowe chyba zawsze będą dla mnie zaskakujące.

– Dużo podróżujesz?

Podchodzimy do eleganckiego czarnego sedana, błyszczącego w porannym zimowym słońcu. William otwiera bagażnik i ostrożnie układa w nim moją walizkę, która zupełnie nie pasuje do tego wozu. Potem zaprasza mnie na siedzenie pasażera. Prawie stanęłam już przy drzwiach od strony kierowcy. Pieprzony ruch lewostronny. Allister otwiera mi drzwi i zachowuje się równie miło, jak w swoich mailach. Czy to możliwe, żeby wizerunek tak mocno odstawał od zachowania?

- Przez wiele lat byłam stewardesą – odpowiadam na jego pytanie, gdy mój tyłek opada na wygodne siedzenie.
- Serio? – Zamyka drzwi i szybko obchodzi samochód.
- Lubiałaś to? – pyta, gdy sadowi się na swoim miejscu.
- Na początku tak, ale z czasem zaczęło mnie męczyć, więc zmieniałam pracę.
- I od razu trafiłaś na Chandlera? – zagaja, odpalając silnik.
- Zgadza się.
- Lubisz u niego pracować? – kontynuuje swoje przesłuchanie.
- Tak – mówię szczerze. – Jest specyficzny, ale to dobry człowiek.
- Moja... to znaczy... Delilah – lekko kaszle – też jest specyficzna. Nazwałbym ją wymagającą, ale w sumie pasuje mi to. Przynajmniej dobrze wiem, czego ode mnie oczekuje, i nie ma żadnych niedomówień.
- „Moja”? Przyglądam się Williamowi i zastanawiam się, ile może mieć lat. Myślę, że jesteśmy w podobnym wieku. Czy mógłby go łączyć płomienny romans z pracodawczynią? Pewnie tak. Delilah jest atrakcyjna i nowoczesna. Typ kocicy. Nie zdziwiłabym się, gdyby umiała sobie czas z młodszym kochankiem. Ale William? Taki spokojny i ułożony służbista? No ale sam powiedział, że lubi wiedzieć, czego Delilah od niego oczekuje. Może bawią się w panią i sługę? Chociaż z drugiej strony Allister z tą brodą i tatuażem nie wygląda mi na kogoś, kto dałby się zniewolić.
- O czym myślisz? – pyta nagle, wyrywając mnie z chorych rozważań na temat jego życia seksualnego.

– Przypominałam sobie adres brata – kłamie. – Kilka miesięcy temu się przeprowadzili. Możesz mnie tam podrzucić?

– A co ze śniadaniem?

– Zjem gdzieś w okolicy.

– Zjedz ze mną – proponuje. – Zapraszam.

Jak zwykle grzeczny i kulturalny. Niech mu będzie. Zjem z nim śniadanie i postaram się dowiedzieć czegoś na temat jutrzejszego spotkania. Potem zajmę się kotem Holdena i Harper, a William wróci do swojej kocicy.

– Dobrze. Co proponujesz?

– Klasyczne angielskie? – rzuca rozbawiony.

– Okej. Smakują mi te wasze tłuste śniadania.

Śmieje się, zerkając na mnie przez sekundę, a potem znów patrzy na drogę.

– Nie wyglądasz na taką, co je tłuste śniadania – stwierdza, po czym zdejmuje z szyi szalik i rzuca niedbale na tylne siedzenie.

Podążam wzrokiem za szalikiem i patrzę na byle jak poukładane teczki, leżące pomiędzy nimi rękawiczki oraz papierek po batoniku. Siedzenie wozu nie wygląda zbyt schludnie. Holdenowi by się to nie spodobało.

– To znaczy?

– Jesteś szczupła.

– Mogę mieć zajebistą przemianę materii – zauważam, choć to nieprawda, bo mam tendencję do tycia, szczególnie gdy żrę jak świnia.

Zastanawiam się, czy William traktuje mnie teraz jak swoją koleżankę, czy też jesteśmy tylko współpracownikami. Poznaliśmy się na żywo, odbiera mnie z lotniska, jesteśmy w podobnym wieku, więc chyba możemy traktować się

jak znajomi. Nie reaguje na moje słownictwo, tylko gapi się na szosę przed nami. Czy zaraz zrobi mi wykład na temat używania niecenzuralnych wyrazów? Obraził się?

– Bałem się, że będziesz sztywna – wyznaje nagle, a mi odbiera głos. – Ale widzę, że równa z ciebie babka – dodaje i uśmiecha się do mnie.

Ja sztywna? I kto to mówi? Człowiek, który w mailach używa sformułowań „moje uszanowanie” i „jesteśmy wielce uradowani z powodu nadchodzącej współpracy”? Facet, który cztery godziny analizuje rodzaje czcionek, zmuszając mnie do wybrania z nim takiej, która „wzbudzi przychyłność naszych klientów”? Gość, który potrzebował osiemnastu zdań, żeby odpowiedzieć mi na pytanie o kontakt do grafika? On bał się, że ja będę sztywna? Ja pierdołę. Komedial.

– Skąd taki pomysł? – pytam, odzyskując głos.

– Nie przepadam za sztywniakami i bałem się, że trudno nam będzie złapać kontakt, zrobi się krępująco, nie znajdziemy wspólnego tematu. Nie umiałem cię rozgryźć. Kontaktowaliśmy się tylko mailowo i byłaś profesjonalna, konkretna. Trudno kogoś ocenić, czytając jedynie jego wiadomości, w dodatku służbowe. Nigdy nie wiadomo, jaka ta osoba będzie, gdy spotkasz ją na żywo.

– To prawda – mówię, bo coraz mocniej dociera do mnie myśl, że źle oceniłam Williama Allistera.

– Teraz już jesteśmy znajomymi, a nie tylko współpracownikami. – Rzuca mi wyczekujące spojrzenie. – Mam nadzieję.

– Tak, jesteśmy – potwierdzam, hamując uśmiech.

Zajmujemy wolny stół i zamawiamy śniadanie. Burczy mi już w brzuchu. Proszę też o kawę z mlekiem, która szybko

łąduje przede mną. Zaciągam się niebiańskim aromatem i zanurzam usta w kofeinowym raju. William przygląda mi się z zainteresowaniem. Oblizuję wargę i odwzajemniam spojrzenie. W końcu mój towarzysz się odzywa:

– Delilah mówiła, że znasz hiszpański.

– Zgadza się.

– Hiszpan mówi po angielsku, ale pewnie będzie mi miło, że ktoś zna jego rodzimy język. Dobrze, że Chandler cię przysłał.

– Dobrze wiesz, że Chandler nie lata – zauważam. – To nie tak, że wybrał mnie ze względu na moje zdolności językowe.

– Racja – rzuca, jakby dopiero sobie o tym przypomniał.

– Poprzednia asystentka jednak nie знаła hiszpańskiego – dodaje, z uśmiechem unosząc brwi.

– Poznałeś ją? – pytam, bo jestem ciekawa swojej poprzedniczki.

Kiedy mnie zatrudniono, niejaka Wendy już nie pracowała. Wszystkiego o swoich obowiązkach dowiedziałam się od szefa i – w bardzo długich mailach – od Williama. Nawet nie widziałam Wendy. Głupio było mi pytać o nią Chandlera, więc teraz liczę na jakieś plotki. Jestem kobietą, uwielbiam plotkować. A poza tym, jak ustaliliśmy, jesteśmy teraz znajomymi, więc mogę wyciągnąć z Allistera jakieś ciekawe informacje okołosłużbowe.

– Spotkaliśmy się w Nowym Jorku w lutym – opowiada William, nachylając się w moją stronę, jakby zdradzał mi jakąś tajemnicę. – Była w porządku, pracowała u Chandlera od dwóch lat, ale on nie do końca był zadowolony.

– To znaczy? – Marszczę brwi.

– Wendy była mało elastyczna – mówi powoli, a mnie przeszywa dreszcz. – Nie zrozum mnie źle – dodaje szybko. – Chodzi o to, że Chandler jest lekko... hmm...

– Nieporadny? – podpowiadam.

– Dokładnie – przyznaje i uśmiecha się ciepło. – Jego żona zmarła cztery lata temu i on nie umie odnaleźć się w świecie, w którym nie opiekuje się nim żadna kobieta. Czasem naprawdę mi go szkoda, i nie mówię tego złośliwie. Delilah twierdzi, że jest za stary na to, żeby nauczyć się niektórych rzeczy, i po prostu w wielu kwestiach liczy na najbliższą mu kobietę. Strasznie to zabrzmiało, ale najbliższa jest dla niego asystentka, bo nie ma córki ani siostry, a niemal cały czas poświęca pracy.

– O cholera, biedny Chandler. Nie wiedziałam o jego żonie.

Robi mi się smutno. Nie sądziłam, że mojego szefa spotkał taki los. To musi być okropne, kiedy współmałżonek umiera w tak młodym wieku. Dwight nie jest nastolatkiem, ale przecież czterdzieści kilka lat to nie czas na grzebanie bratniej duszy. Przełykam ślinę, bo w gardle rośnie mi gula żalu.

– Nie opowiada o tym – kontynuuje William, a kelnerka przynosi nasze zamówienie. – Dziękuję – zwraca się do dziewczyny, a po jej odejściu znów patrzy na mnie. – Chandler próbuje być twardy, ale czasem potrzebuje czyjejś porady, pomocy lub po prostu dobrego słowa. Wprawdzie ma brata i syna, ale kobiece rady bywają na wagę złota. Wendy była oburzona, kiedy poprosił ją o pomoc w kupieniu prezentu urodzinowego dla bratowej. Uznała to za niestosowne. Chyba wtedy zaczęła szukać nowej pracy i kilka miesięcy

później odeszła z firmy. Napisała mi w mailu, że będzie teraz miała bardziej „profesjonalną” posadę.

Wzrusza ramionami i skupia się na jedzeniu. Powoli idę w jego ślady, ale wciąż czuję ciężar na sercu. Mój szef ma syna? Nigdy o nim nie mówił. Próbuję sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek potraktowałam Chandlera nieuprzejmie. Gdyby tak było, w tej chwili pewnie pękłoby mi serce. Postanawiam zawsze z uśmiechem doradzać mu wybór krawata. Prezenty też mu pomogę kupować. Co za gnida z tej Wendy?!

– To podłe – stwierdzam.

– Uważam tak samo. Wiem, że to tylko praca, ale trzeba być człowiekiem. Nie prosił jej przecież o obciążanie pod biurkiem, tylko o pomoc w zakupach, w dodatku w godzinach pracy. Skoro całe życie prezentami zajmowała się żona, to skąd on ma nagle wiedzieć, co powinien wybrać?

Czy William Allister właśnie użył słowa „obciążanie”? Próbuję nie udławić się kęsem kielbaski, który usilnie przelękam.

– Ty długo pracujesz w tej firmie? – pytam w końcu, postanawiając zmienić temat.

Dużo wie, więc ciekawi mnie, skąd ma te wszystkie informacje. Wydaje się, że jest blisko z moim szefem, jak też z Delilah. No i okazuje się, że jest gadułą nie tylko w mailach.

– Od początku.

– Firma ma dziewięć lat.

– Zgadza się.

Zerkam na niego zaskoczona, co chyba zauważa. Śmieje się i oznajmia:

– Zacząłem jeszcze na studiach. Mam trzydzieści jeden lat. Wiem, że broda może mnie postarzać, ale... Chyba powinienem ją zgolić, tak?

Rozbawił mnie. Kręcę głową, przeżuając śniadanie.

– Broda jest okej – odpowiadam, po czym dodaję: – Ja też bałam się, że będziesz sztywniakiem.

Wlepia we mnie rozbawione spojrzenie, a ja po raz pierwszy czuję, że mogłabym go polubić.